

Namaluj mi

Marcin Michał Wysocki

Namaluj mi



*Dedykuję ukochanym przyjaciołom,
bez których moje życie nie miałyby sensu.
Jestem Waszym dłużnikiem.
Nasze autentyczne relacje
to coś więcej niż te wymuszone więzami krwi.
A sama świadomość współistnienia
na wyciągnięcie ręki, skupienia uwagi,
jeśli tylko potrzebowalibyśmy pomocy,
to dla mnie bezcenne dobro.*

Namaluj mi

Fanpage autora:

www.facebook.com/MMWysockiAutor

Redakcja:

Iwona Janczy

Korekta:

Agnieszka Piotrowicz

Projekt okładki na podstawie obrazu Katarzyny Jelińskiej:

Beata Linda

Zdjęcie:

Monika Głuszczyk

Skład:

Marcin Fabijański

Wydawnictwo QES Agency

03-197 Warszawa, ul. Portowa 2j

www.qesagency.pl

Patronat:

www.dobry-audiobook.pl

© Copyright by QES Agency, Warszawa 2021

ISBN 978-83-66044-26-5

ISBN 978-83-66044-25-8 (ebook)

Druk i oprawa:

druk-24h.com.pl
DRUKARNIA CYFROWA

PROLOG

Kazała nazywać siebie Harriet. Otrzepała włosy z piachu, dopięła wymiętą bluzkę i usiadła obok czarnookiego przystojniaka. Poczęstował ją papierosem, lecz pokręciła głową. Oparta plecami o leżące, uschnięte drzewo uspokajała oddech. Musiało obumrzeć z braku wody, a może zgniło od jej nadmiaru, gdyż miejsce znajdowało się między suchą jak pieprz wydumą a wąskim pasem mokradeł. Patrzyła na horyzont gasnący za wydumą w granatowoszarym mroku.

Płomienie dogasającego już ogniska rzucały światłocienie, które migotały na wilgotnej twarzy jej kochanka w nierównym rytmie podmuchów. O tej porze dnia na każdej szerokości geograficznej wiatr nigdy nie umiał się zdecydować, czy jeszcze przeć ku nagrzanemu lądowi, czy wręcz przeciwnie. Niósł do ich uszu wyraźny szum fal rozbijających się o brzeg, jednak stamtąd, gdzie się ukryli, nie było widać oceanu.

Harriet złożyła głowę na ramieniu mężczyzny i wtuliła twarz w jego szyję. Jedną ręką objęła go w pasie. Mieszanka potu, śliny i piachu pozlepiała jej słomkowożółte włosy. Pachniała morskimi algami i seksem. Nie przypominała już hardej dziewczyny sprzed kilkunastu minut.

„Amerykanka, dlatego tak wyzwolona” — ocenił Miguel, porównując ją do Portugalek, a już szczególnie do lokalnych dziewczyn z Figueira da Foz.

Godzinę wcześniej, gdy po drobnej przekąsce w piekarni Praia Mar zaszyli się w południowej części Costa de Lavos, nie chciała już słuchać „żadnego wycia ani tym bardziej rzępolenia”. W ten zuchwały sposób wyraziła się o próbie repertuaru *unplugged* zaprezentowanej jej przez Bona w trakcie tego na wskroś prywatnego koncertu. Tak ochrzciły go fanki. A dokładniej nazywały Miguela: „Nasz ukochany Bono”.

Amerykanka zwyczajnie chojrakowała. Podczas lokalnego festiwalu rockowego, który się odbywał regularnie każdej wiosny w regionie Coimbra, wyglądała na odurzoną jego talentem. Tańczyła pod sceną niczym oszalała małolata albo stuknięta grupie. Jednak na wydmach ostentacyjnie pociągnęła potężny łyk porto, a następnie jednym ruchem zepchnęła z niego gitarę. Dosiadła go na rzadkiej wydmowej trawie, na skraju zielonoburych bagien, a potem wpiła się w jego usta jeszcze mokrym, alkoholowym oddechem.

Bono był zniesmaczony. To było jego żerowisko. On polował i decydował nie tylko o tym, z kim, gdzie i kiedy, ale też w jaki sposób będzie to robił. Mimo wszystko uległ jej z ciekawości. Jak drapieżnik, który lubi obserwować ledwie napoczętą ofiarę, starającą się nieudolnie umknąć spomiędzy uzbrojonych w pazury łap — zanim na powrót się nią zajmie.

Mężczyźnie nie spodobało się jej zachowanie ani na pierwszy, ani na drugi rzut oka. Dlatego złapał ją za włosy i odrywając od swoich ust, siłą sprowadził do parteru. Jęknęła, gdy w reakcji na próbę wierzgnięcia wierzchem dłoni wymierzył jej klapsa. Zwolnionym ruchem ręki pokazał, że tym razem robi to delikatnie, i w ramach ostrzeżenia — zupełnie jakby wygłodniały lew — pacnął miękką łapą wyrywając się jagnię, któremu nie uśmiechało się zostać pożarte.

Ponownie zajęczała, gdy otworzył jej szkarłatne usta i wepchnął w nie pulsującego kutasa. Przez chwilę udawała zaskoczoną i zanim wzięła się do roboty, blefowała, że nie wie, do czego służy penis. Gdy moment później w zapamiętaniu go ssała, miał pewność, że to była czysta prowokacja; jej znakomicie udawana krnąbrność, która miała go rozpałić do czerwoności. „I to się jej udało” — ocenił z uznaniem.

Przymknął oczy z zadowoleniem, a potem jednym ruchem zdarł z niej szorty i odsunął pasek stringów. Otwierając ją palcami, znalazł potwierdzenie, że łągała jak pies. Chwilę później zaczął się w niej rozpychać posuwistymi pchnięciami.

Bezustannie jęczała. Najpierw cicho, a wkrótce na całego, gorączkowo, nieprzytomnie. Wiła się, tarzała w słonym piasku, skamlała o więcej, mocniej i głębiej... Nie uciszał jej, gdyż zwyczajnie go to kręciło. Ponadto wiatr i szum fal zdawały się skutecznie zagłuszać jej jęki. Uznał, że nikt z plażowiczów nie miał szans ich słyszeć. Zresztą co komu do tego?

Przeszło mu przez głowę, że miejscowe dziewczyny są od niej skromniejsze, wstydlivsze, choć nie mniej gorące. Nigdy nie zachowywałyby się w głośny i wulgarny sposób, który go tak podniecał. Na myśl o tym zajął się nią jeszcze zachłanniej, jak gdyby chciał ją za to ukarać.

Przyspieszone ruchy mężczyzny wywołały nowe fale rozkoszy, aż w końcu nieskrępowany krzyk Harriet zwabił parkowego strażnika, który niespodziewanie nadszedł od strony oczyszczalni ścieków. Zaskoczony ich widokiem stanął jak wryty. Po kilku sekundach oprzytomniał i krzyknął, jakby chciał powstrzymać Miguela i tą smukłą, opaloną na złoty kolor dziewczynę od śmiertelnego grzechu. Jednak para znajdowała się zbyt blisko spełnienia, aby się nim przejąć. Kontynuowali w zapamiętaniu, nie zwracając na niego uwagi. Nie wiadomo kiedy zniknął w krzewach.

W narastającej ciemności uspokojona i spełniona Harriet przymknęła uszczęśliwione oczy. Do ich świadomości powrócił szum fal oraz wilgotny zapach ledwie wyczuwalnej morskiej mgiełki.

— Było mi cholernie dobrze, *handsome*... — wyszeptła z błogim uśmiechem.

Bono go odwzajemnił, potarł jej ramię i zaproponował:

— Chodźmy stąd, bo jeszcze sprowadzi na nas policję.

— Boisz się gliniarzy? — Nie ukrywała rozczarowania.

— Nie o to chodzi — wyjaśnił niechętnie, wyswobadzając się z jej objęć.

— Tylko o co?

Miguel nie odpowiedział. Wstał i otrzepał spodnie. Dziewczyna niechętnie podniosła się z ziemi.

— Wszystko psujesz — rzuciła z zaciśniętymi wargami. — Nadajesz się jedynie do rypania i do niczego więcej. — Wydęła usta i stanęła przed nim z sandałami zarzuconymi na ramię.

Na dźwięk zbliżającego się radiowozu szybko zbiegli na plażę, a potem drewnianym pomostem ponad bagnami oddalili się w kierunku przeciwnym do drogi. Wmieszani w rzednący już o tej porze tłumek turystów dotarli do auta zaparkowanego przy alei imienia radnego Joségo Elisio.

ROZDZIAŁ 1

Magazyny przelewni wina należące do różnych firm i korporacji zajmowały tradycyjnie tę samą dzielnicę w centrum Porto — Vila Nova de Gaia. Obok takich tuzów produkcji markowego porto jak Sandeman, Cálem, Ramos Pinto, Taylor's czy Vasconcellos, których olbrzymie składy o malowniczych czerwonych dachówkach zajmowały atrakcyjne i pełne turystów nabrzeże Duero, od lat funkcjonowały także mniejsze, rodzinne przedsiębiorstwa. Ich piwnice usytuowano wyżej, nad torowiskiem, w znacznie tańszej części dzielnicy. Niektóre z nich wybiły się na samodzielność, na przykład Poças, który zbudował własną markę. Inne zaś pozostały familijnymi manufakturami pracującymi w mikroskali albo obsługującymi największych. Właśnie w jednej z takich firm pracował Miguel.

W pomieszczeniu panował półmrok i popołudniowy majowy zaduch. Pachniało smarem od ciężarówki wymieszanym z kurzem. W strumieniach światła przebijających się przez szpary w okiennicach tańczyły jasne mgławice pyłu. Bono podał Diogo butelkę, rozglądając się po hangarze.

— Trzymaj. Uważaj, nie upuść — rzucił, nie odrywając wzroku od obojga drzwi prowadzących do pomieszczenia. — Włóż pod pazuchę i czmychaj mi stąd. — Popędził go ruchem ręki.

— Daj, kurna, jeszcze, mistrzuniu... — szepnął tamten błagalnie, gdy odbierał od niego ostrożnie ciemną flaszkę.

— Wystarczą dwie. — Miguel także ściszył głos. — Więcej nie uda ci się przenieść bez zwracania uwagi. Kraść też trzeba umieć, Grubson. No już, wynocha! — Ponaglił go ruchem dłoni.

— Ale będzie jazda! — wyszeptał z radosnym podnieceniem Diogo, podniósłszy oczy na kumpla. Tamten nie tylko był wyższy od niego o głowę i chudszy o ponad trzydzieści kilo, ale jeszcze stał na platformie złożonej z kilku palet. — Zrobię taki miks, że każda padnie! O której przyjedziesz? — spytał, chowając wino do plecaka.

— Około szesnastej — odpowiedział przystojniak i zabrał się za zawiązywanie sznura plandeki na ciężarówce. Jednocześnie starał się nie spuszczać z oczu obu wejść do hangaru. Co chwila poprawiał długie czarne kosmyki opadające mu na twarz, które utrudniały wykonywanie obu tych czynności.

— Mówię ci — rozmarzył się grubas. Stał przed przyjacielem w poprzecieranych bermudach i wymiętej lnianej koszuli w sprane kwiaty. Wyglądał jak gdyby od kilku dni nie zmieniał ubrania. — Towaru tam będzie zatrzęsienie. Podobno z Lizbony przyjechały sportsmenki. Mają ćwiczyć na plaży. Istne *glamour*. — Przewrócił oczami z zachwytem. — Smukłe i niewyżyte... — zajęczał półszepem. — Pełne estrogenu i wszystkie nasze! — Z podniecenia przestąpił z jednej słoniowej nogi na drugą. Jego skórzane sandały wzbily na podłodze chmurę kurzu, która zafalowała w wąskich prześwitach słońca. Pył wwiercał się w nosy, grożąc hałaśliwym kichnięciem.

— Pełne czego? — Twarz Bona zastygła w zdumieniu.

Diogo już miał tłumaczyć, lecz na widok filmowego uśmiechu kolegi, który wykwitł na jego obliczu, roześmiał się bezgłośnie pełną, księżycową gębą. Wyglądali niczym Flip i Flap w Muzeum Figur Woskowych.

— Dobra, dobra. — Miguel w sekundę spowaźniał, gasząc surową miną zbytnie rozbawienie kumpla. — Pakuj się stąd, bo jak cię ten Maur zobaczy, to powyrywa nam nogi z dupy i da psom do zabawy.

Grubas zrobił parę kroków w kierunku tylnych drzwi, ale po chwili się zatrzymał, odwrócił i upewnił:

— Ale czy twoi starzy na bank nie pojawią się w apartamencie?
— Nie stresuj się. Bankowo! — odpowiedział mu przystojniak zniecierpliwionym szeptem i po raz kolejny poprawił grzywkę. — No, ruszaj! — dorzucił ponagląco, a gdy tamten znikł za drzwiami, zablokował je od wewnątrz.

* * *

Około dwudziestej rozpalili ognisko nad brzegiem oceanu, niedaleko ujścia Lis — przy północnej części plaży da Vieira. Wybrali się tam na, jak to nazywali, „gościnne występy”, gdyż zwykle działali w okolicy Praia Osso da Baleia. Tym razem udało im się zwabić dwie nowo poznane dziewczyny.

Powiewy wiatru, które przyciskały płomień do ziemi, były pieszczotliwie rześkie, dając przyjemność po jednym z pierwszych gorących wiosennych dni. Podnosiły z plaży drobinki piasku, a wraz z nimi mdlący zapach glonów błakających się dotąd miesiącami wraz z prądem zatokowym gdzieś od wybrzeży Argentyny.

— A ile masz lat? — zapytała zgrabna blondynka i przechyliła głowę na bok.

„Pewnie uważa, że to zalotne” — ocenił Bono, pociągając dym z papierosa. Zalecał się do niej od trzech godzin, a ta nie zamykała ust, nękając go nieustającymi pytaniami. Musiała być zdenerwowana perspektywą nieuchronnego tête-à-tête, gdy zaprosi ją na górę do apartamentu.

Przystojniak miał się za mistrza podrywu. Z tego powodu tak sprawnie, jak uważał, doszedł do etapu, w którym mógł już sobie odpuścić nadszkiewanie jej. Dziewczyna i tak była jego. Klęczała przed nim na piasku, ubrana w krótką żółtą spódniczkę, złote sandały i zielony pulower na białym T-shircie. „Do tego białe bawełniane majteczki” — zauważył w myślach, gdy siadała. „Jakież to czysto dziewczęce...”. Uśmiechnął się zadowolony z wymyślonego przez siebie określenia.

— Dwadzieścia osiem — odpowiedział wyjątkowo szczerze i zabrzdakał na gitarze z dopalającym się papierosem w ustach. — A ty? — spytał i dopiero wtedy spojrzał jej głęboko w oczy, aż się spłoniła.

— Dziewiętnaście — stwierdziła z nieukrywaną dumą w głosie. Bono odniósł wrażenie, jakby chciała podkreślić, że może się już bzykać.

— No to super — skomentował półgłosem, a tak naprawdę ocenił jej jędrny biust, który przebijał się stwardniałymi sutkami przez podkoszulkę. Mimo wszystko nie był na tyle zarozumiały, aby uznać, że to pod wpływem jego zabiegów, a nie wiatru. Wyjął z ust nadpalony filtr, a potem wcisnął go w piach. — A to znasz? — spytał i nie czekając na odpowiedź, zaintonował przebój Bon Jovi: *This Romeo is bleeding, but you can't see his blood...* Był praktykiem i wiedział, że to „zawsze działa na laski”. „Podprogowo” — dodał w głowie.

— Czemu nazywają cię Bono? — zadała kolejne pytanie, gdy z przymkniętymi oczami skończył śpiewać pierwszą zwrotkę. — Wcale nie jesteś podobny...

Przystojniak wzruszył ramionami, nie przestając grać.

— Kiedyś zakochałem się w The Joshua Tree i w kółko mówiłem o ich genialnym wokaliście — rzucił od niechcienia. — I tak do mnie przylgnęło... — odpowiedział, sam nie wiedząc, czemu tak wyczerpująco.

— A czym się zajmujesz, tak w życiu?

Wyciągnęła rękę po butelkę białego w piasek porto, doprowadzonego rano z magazynu. Diogo pochwalił się dziewczynom, że to przedni gatunek. W ten sam sposób wyjaśnił jego osobliwy smak. Nie mógł przecież zdradzić, że wymieszał go z wódką, aby zbliżenie ciał, które miało nastąpić zaraz po zetknięciu dusz, wydarzyło się jak najszybciej.

— Studiuję malarstwo, ale nie idzie mi najlepiej — skłamał podwójnie, aby sobą zaciekawić. Założył, że nie zaimponowałby jej pracą magazyniera w przelewni wina.

Po łyku alkoholu z trzymanej w rękach sportsmenki butelki najromantyczniej, jak umiał, zaintonował refren: *Yeah I will love you, baby,*

always... Uznał, że dziewczyna zna tekst i doskonale rozumie jego intencje — a zinterpretuje je na modłę własnych fantazji.

Kilka metrów dalej od ogniska grubas przytulał się do „małej czarnej”, jak nazwał swoją zdobycz po kolejnym łyku chrzczonego porto z drugiej butelki. Mężczyźni wyglądali niczym młode lwy, które dopiero co upolowały zwierzynę i zaciągnęły ją do cienia, aby chwilę przed ucztą delektować się widokiem ofiar, zapachem śmierci i smakiem pierwszej krwi zlizywanej z pyska.

* * *

Zdjął z niej pulower, a ten zsunął się bezdźwięcznie na miękką wykładzinę wyściełającą salon rodziców, który jeszcze przed chwilą podziwiała. W apartamencie z widokiem na bezkresny ocean sprzęty właśnie nikięły w zapadającym zmierzchu, za to oczy dziewczyny coraz wyraźniej płonęły, wpatrzone w Miguela jak w zbawcę. Jej nozdrza chłonęły zapach jego skóry wymieszany z czymś nieznanym, tajemniczym i mrocznym. Z głośników sączył się kojący falset Caetana Veloso. Nie mogła wiedzieć, że po *Cucurrucucú Paloma* Méndeza nastąpi *Besame mucho* z João Gilberto, a dalej seria utworów przygotowanych specjalnie na takie okazje...

Delikatnie palcami prawej dłoni musnął brodawki odciskające się przez T-shirt. Nie umiała ukryć drżenia, w które momentalnie wpało jej ciało. Mimo to powstrzymała odruch cofnięcia piersi i ucieczki, którą od co najmniej pięciu lat się salwowała przed zbyt natarczywymi zalotami starszych mężczyzn. Miguel to oczywiście wyczuł, zrozumiał i poznał całą tę historię w tym jednym, niemal niewidocznym drgnięciu.

Uważał się za konesera niewypowiedzianych wrażeń. „Jakież to czysto dziewicze” — przypomniał sobie wyrażenie stworzone na plaży i się uśmiechnął, ujmując w palce jej naprężony sutek. Pokręcił nim delikatnie. Bawełna koszulki potarła o napiętą skórę. Dziewczyna westchnęła bezgłośnie, podczas gdy jej źrenice zaszyły mgłą. Powieki

w zwolnionym tempie przetarły tafle oczu, jakby zdążyło się jej pomieszać w głowie od marzeń albo raczej od zderzenia niespełnionych fantazji z doznaniem, którego nie dało się przecież wyobrazić.

Przystojniak uniósł jej koszulkę. Dziewczyna posłusznie podniosła ręce, aby mógł ją ściągnąć bez przeszkód. Gdy celował zdjętym T-shirtem w stojącą za nimi sofę, jej dłonie powędrowały do jego rozporoka — tak jak to widziała na filmach. Westchnęła po raz drugi, tym razem niepohamowanie głośno, na widok olbrzymiego członka, który po obsunięciu slipów wyskoczył na nią, a następnie się wyprężył. Po jej zaskoczonych minie Bono ocenił z satysfakcją, że wielkość przyrodzenia musiała wykraczać poza wyimaginowany przez nią rozmiar. Dlatego ujęła je niepewnie palcami, jakby było jadowitym wężem. Jednak gdy tylko się zawahała, poczuła silną dłoń mężczyzny, która skłoniła ją do ukłęknięcia.

Chwilę potem to on, rozsunąwszy szeroko jej nogi, wślizgnął się szorstkim językiem do wilgotnego już wnętrza. Wywołał w niej pierwotne falowanie, jakbyśmy my, ludzie, byli nieodrodnymi potomkami morskich zwierząt, a w pamięci genomu zasnęły pływy oceanu. Zimno, gorąco, zimno — gwałtowniejszy równikowy żar, a po nim subarktyczny lód. Obiema rękami złapała się poręczy krzesła za głową i o mało jej nie wyrwała podczas kolejnych skurczów rozkoszy.

Przystojniak nigdzie się nie spieszył. Posuwał się w jednostajnym rytmie i niezbyt szybkim tempie — czyste moderato. Dozował wrażenia siłą dotyku jędrnych warg. Raz torował sobie ścieżkę między różowymi fałdkami, które niczym płatki róży otwierały się pod naciskiem jego wiśniowych ust, innym razem skupiał się na drobniutkiej szyszce — miniaturce pąka chmielu. Na przemian oblizywał ją dookoła, trącał od dołu i z góry, aby złapać wargami, lekko zacisnąć, a następnie wyssać z niej sok... Nie była dziewicą, ale wyglądało na to, że żaden mężczyzna nie odwiedził jej wcześniej w ten sposób.

Od tej pory dziewczyna była gotowa go przyjąć. Pragnęła go teraz bardziej niż kogokolwiek i czegokolwiek na świecie. Bez świadomości norm, sztucznych ograniczeń czy narzuconych barier. Bez bagażu

chorobliwej moralności i hipokryzji, które pętają ludzkie umysły. Pa-liło ją pulsujące krwią pożądanie. Cierpły palce zaciśnięte do białości w piąstki na fałdach ściągniętej skóry jego pleców.

Miguel wszedł w nią wpierv ostrożnie, jakby się rozglądał w nie-znanym wnętrzu. Potem zaczął coraz gwałtowniej się z niej wysuwać i na powrót wsuwać. Robił to raz szybciej, a raz wolniej, nieregularnymi seriami i ze zmienną siłą, aby nie mogła przewidzieć kolejnego ruchu. Gdy, chyba po raz tysięczny, napał na wzgórek jej łona, dziewczyna poczuła, jak zalewa ją fala, a później kolejne. Po chwili utraciła panowanie nad tym, co się z nią działo, gdyż Bono wymachiwał już nią niczym szmacianą lalką — przekładał z sofy na stół, a następnie na kredens. Układał głowę na dywanie albo nogami wysoko, na sam brzeg łóżka. Dzielił i rządził wedle własnej woli. Ona jedynie usiło-wała przetrwać, przełknąć ślinę i choć przez chwilę wziąć pełny od-dech. Zakrzuszyła się, gdy położył ją na wznak i odchylił głowę poza obręb sofy. Głębokimi pchnięciami torował sobie drogę w jej ustach, aż mało nie zemdląa.

* * *

Gdy już całkiem po zmroku wracali z apartamentu, pozostawiwszy go do dyspozycji drugiej parze, blondynka ponownie pokrywała emocje bezustannymi pytaniami. Garnęła się przy tym do skąpo owłosionej, choć wyjątkowo muskularnej klatki Miguela. Dziewczyna miała prze-krwione białka z wysiłku, który wkładała w łapanie haustów powietrza podczas cielesnych wygibasów. Musiała zakładać, że uległością pięknego młodego ciała złożyła właśnie ofiarę na ołtarzu miłości, któ-rej on stał się odtąd zakładnikiem.

Gdy doszli do plaży, odgłosy cykad zagłuszył ocean. Usiedli w tym samym miejscu co wcześniej, obok przygasającego ogniska. Przystoj-niak coraz słabiej ukrywał znużenie. Niknące błyski światła z tań-czącego na wietrze ognia podrygiwały w ciemności na ich twarzach. Pachniało jeszcze intensywniej niż za dnia — na przemian morzem

i podmuchami z frytkownicy oraz rybnego grilla uruchomionych na wieczór w Rose Petisqueira, po drugiej stronie rzeczki.

— Mieszkasz tutaj?

— Gdzie? — odpowiedział pytaniem. Nie odwrócił głowy od bielejących w ciemności grzbietów wzburzonych fal.

— W Vieira de Leiria? — Spróbowała nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Oparła głowę na jego kolanach i patrzyła w górę, obserwując męski podbródek i szyję.

— Nie, skąd! — Wzruszył ramionami i przypalił nowego papierosa. — Chcesz? — zapytał, podsuwając jej go pod nos.

— Nie, nie palę — zachnęła się i drgnęła, jak gdyby chciała się podnieść.

— No tak, jesteś sportsmenką — zauważył z nieukrywaną kpina.

Po chwili dziewczyna zadała kolejne pytanie, co już zaczynało go drażnić.

— Często tu bywacie?

Był pewien, że marzyła o negatywnej odpowiedzi.

— Bardzo rzadko. Jesteśmy tu chyba po raz drugi — skłamał odruchowo.

— Okej — odpowiedziała i teraz sama wpatrzyła się w morze, mechanicznie obciążając świeżo poplamiony sweterek, który zawinął się na piasku pod jej plecami.

Miguel najchętniej pojechałby teraz do dyskoteki, ale oczywiście z samym Diogiem. Zwrócił więc wzrok na wydmę w wyczekiwaniu kumpla.

* * *

Maur, jak Miguel złośliwie przezwał pracodawcę, wyglądał odstraszająco z okazałymi tatuażami wychodzącymi spod koszulki na kark i przedramiona. Miał zwykle zaciętą minę wyzbytą ludzkich uczuć. Coś jak nieustający paraliż mięśni twarzy. Gładko ogolony i krótko przyszyty krążył po zakładzie sprężystym krokiem. Zawsze

wyprostowany, niemal sztywny w karku, niczym emerytowany żołnierz francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

— Pojawia się koło ciebie niepostrzeżenie jak duch — instruował przystojniak nowo przybyłych. — Nigdy nie wiadomo, gdzie, kiedy i na czym człowieka dopadnie, więc miejcie się na baczności. I lepiej, żebyście niczego nie kombinowali, bo wylecicie, jak amen w pacierzu.

Szef nie tolerował żadnych przewinień, a już prawdziwego hopla miał na punkcie punktualności. Dawał boleśnie to odczuć każdemu, kto pozwolił sobie na choćby drobne spóźnienie do pracy. Recydywistów karał, odbierając premię, a gdy to nie pomagało, wyrzucał nieszczęśników na bruk. Z miejsca i bez ceregieli.

Bono podpadł mu w tej kwestii już kilkukrotnie, więc miał poczucie, że lewituje na granicy definitywnej utraty tej roboty. Jakby przebywał w czyścicu, skąd jak uważał, teoretycznie można wrócić do łask suwerena, ale w praktyce nikomu się to nie udaje. Niestety, regularne pojawianie się na czas w robocie, której nie szanował ani nie lubił, było ponad jego siły. Przez kilka dni szło mu nawet gładko, a potem ciach! I po ptakach.

Uważał, że nie zrozumie tego nikt, kto nie czuje się prawdziwym artystą. Człowiekiem, który z racji wrodzonej wrażliwości oraz łatwości nawiązywania kontaktów z ludźmi preferuje przegadanie całej nocy po koncercie o naprawdę ważkich sprawach tego świata ponad żywot niewolnika, zamotanego w pętlę niekończących się zobowiązań i powinności. To nie mogło iść w parze z wysoką notą u Maura.

Miguel musiał pracować. Nie miał wyjścia, jeśli chciał otrzymać połowę pokaźnego majątku po śmierci rodziców. Ci byli już wystarczająco rozczarowani brakiem wykształcenia syna, a co za tym idzie, także perspektyw na jego „światlaną przyszłość”. Albo choćby na „błyskotliwą karierę zawodową”, która zapewniłaby im dostatni żywot na emeryturze.

Sami bez dyplomów wyższych uczelni, widzieli go za sterami samolotu pasażerskiego w świetnie skrojonym, olśniewająco białym

uniformie i czapce z daszkiem okraszzonej kapitańskimi insygniami. Wiadomo, ojciec pasjonował się lotnictwem. Ewentualnie jako tryskającego energią i świetnymi pomysłami obrońcę interesów bogatych korporacji w ich sporach sądowych — jak wołała matka. Czy jako ratującego czyjeś życie udanym, unikatowym w skali światowej przeszczepem serca kardiochirura — na co ostatecznie przystaliby oboje.

Nie byli natomiast w stanie zaakceptować w rodzinie kolejnej i „szalenie ryzykownej”, jak zgodnie twierdzili, kariery artystycznej. Nawet quasi-artystycznej. W ten sposób oceniali plany młodszej siostry Miguela, która przynajmniej rozpoczęła studia architektoniczne, mimo że kontynuowała je z marnym skutkiem. Na marginesie: ponieważ stawiano mu ją od dziecka za wzór, przez to jej serdecznie nie cierpiał. Dlatego nigdy nie umieli odnaleźć wspólnego języka.

Rzępolenie syna nie dawało zatem żadnych realnych podstaw do rodzicielskiego optymizmu oraz tego, aby w ogóle traktować jego plany poważnie. Inna rzecz, że Bono nie podsuwał im dobrych kontrargumentów, nie przykładając się nigdy szczególnie do nauki, nawet w przypadku swojego ulubionego zajęcia, czyli gry na gitarze. Ich gorzyc z czasem się ucieleśniła w postaci regularnej złośliwej praktyki wytykania mu błędów, niedociągnięć, zaniechań i słabości — czyli de facto wszystkiego.

Tak czy inaczej, rodzice wydziedziczyliby go, gdyby nie podjął żadnego zajęcia, a może nawet pozbawili dachu nad głową, jeśli zaszedłby im boleśniej za skórę. Miał wrażenie, że ledwie go tolerowali w swoim domu, w którym, ich zdaniem, bezproduktywnie tkwił mimo zbliżającej się trzydziestki. Wypominali mu także, że szerokim gestem korzystał ze zgromadzonych przez nich dóbr, nie dając z siebie niczego w zamian. Miguel dobrze rozumiał, że chodziło o jego partycypację w kosztach utrzymania lub choćby w formie ekwiwalentu fizycznego zaangażowania się w prace domowe. On jednak, mimo groźby utraty lokum, wikt i opierunku, wołał udawać przygłupa. Grał nieogarniętego proletariusza, który całe dni haruje jako pracownik fizyczny w przelewni wina, dlatego niewiele zarabia i nie ma środków

na dokładanie się do budżetu. W ten sam sposób tłumaczył brak sił i czasu na włączanie się w domowe obowiązki.

Rodzice tego domorosłego rockmana dochodzili do pieniędzy własnymi rękami, nie otrzymawszy od swoich przodków niczego poza wychowaniem i szacunkiem do pracy. Papa Miguela był wielce niepokodzony z sytuacją syna. Dlatego aby ukryć przed ludźmi wstyd, zwykł był opowiadać w towarzystwie, że „człowiek to może wykonywać dowolne zajęcie, byleby robił to sumiennie i uczciwie”. To był taki zwrot wytrych na wypadek, gdyby któremuś z ciekawskich gości przyszło do głowy, że któreś z jego dzieci jest nieuzdolnione albo leniwe. „W końcu każdy porządny fachowiec zasługuje na szacunek, bez względu na miejsce w hierarchii” — dodawał jego ojciec innym razem, gdy wymagała tego sytuacja, czyli zderzył się z dociekaniem obcych na temat zajęcia czy planów zawodowych dorosłego już syna.

Oczywiście dla samego zainteresowanego opinia rodziny — włączając w to „głupią siostrę” — nie miała żadnego znaczenia.

Bono nie umiał pogodzić swoich dwóch wcieleń albo raczej światów, w których równolegle żył. Z jednej strony robotnika, do którego na co dzień zwracano się ostro i bez cienia szacunku. Z drugiej zaś artysty występującego w weekendowe wieczory na małej klubowej scenie. Albo inaczej: rockmana, któremu wątpła, często podchmielona, lecz niezwykle ciepła i wierna publiczność nie szczędziła nigdy aplauzu ani słów uznania. Ta sama zresztą, która ochrzciła go „Naszym Bonem” po tym, jak z dużym wdziękiem wykonywał utwory U2. Ten drugi świat ukochał i jemu — jak deklarował — oddałby duszę oraz ciało.

Niestety, owej „szczerzej i bezgranicznej miłości” nie starczało, aby wycisnąć z siebie wystarczająco wiele na utrzymanie się z tego zajęcia. Aby rozwijać swoje umiejętności i doskonalić warsztat do poziomu, który — wbrew opinii rodziców — pozwoliby mu znaleźć się na zawodowym parnasisie.

Klasyka. Koło zamknięte. Czysty, abstrakcyjny, wyizolowany od ciężkiej pracy talent nigdy nie wystarczy. W każdym razie na dłuższą

metę i do osiągnięcia prawdziwie ambitnych celów. Bo jak uczy życie, albo masz talent i dokładasz do tego więcej lub mniej pracy, albo braku talentu nadrabiasz benedyktyńską pracowitością. Inaczej nic z tego nie będzie. Kłapa, *null* i rozczarowanie. To cykl, w który wpadają czasem ci najzdolniejsi i najleniwi zarazem. Przerwać go niepodobna bez kosmicznego poddmuchu, pchnięcia boską ręką czy katastrofy, po której zaczyna się wszystko od nowa... W ten sposób ludzie utalentowanych dystansują mniej zdolni, lecz pracowici. Chyba że ktoś jest geniuszem — jednak ta cecha jak dotąd nie ujawniła się w przypadku Bona.

I tak na scenie Miguel czuł się półbogiem, a w przelewni win zwykłym robotem bez przyszłości. Półczłowiekiem, który do końca zdrowia lub życia będzie przestawiał skrzynki i ładował ciężarówkę. Popychadłem odpowiadającym karnie *Claro!* na wszystkie polecenia czy przekleństwa rzucane w jego stronę. I to bez podnoszenia wzroku, żeby zbytnio nie nawijać się szefowi na oczy.

Czasem się nad tym zastanawiał, ale bez konstruktywnego rezultatu. Bo niby jak miałby odmienić swój los? „No, kto powie, w jaki sposób?” — ekscytował się bezowocnie, gdyż oczywiście nie chciał dostrzec najprostszego, a zarazem najtrudniejszego rozwiązania. „Co za syf!” — w ten sposób kwitował niepokorne dywagacje, a właściwie frustrację i rozczarowanie sobą. Z poczucia beznadziei wymieszanej z bezradnością.

W chwilach, gdy był ze sobą zwyczajnie szczery, bo zadżumiony — jak obaj z Diogiem nazywali stany upojenia alkoholowego — i dogorywał na wydmach w oczekiwaniu na kaca, obserwując spod wpół-przymkniętych powiek znikający nad oceanem całun ciemności, przyznawał, że tak naprawdę najpiękniej to „byłoby mieć tyle kasy, aby nie musieć nic już w życiu robić i cieszyć się nieustannie coraz to nowymi zabawkami”. Jednak w ostatnim czasie, nie wiedzieć z jakiego powodu — być może przez dopadające go coraz większe znużenie nieustającą fiestą, poczuł, że mógłby osiągnąć coś więcej. Może w muzyce? Nie, nie miał talentu do komponowania, a to było niezbędne, aby być oryginalnym artystą, a nie tylko wykonawcą. Tacy nie

robią przecież kariery, tylko grają po knajpach, a nie o to mu chodziło. A może w życiu prywatnym? Jednak tyle się już zdążył napatrzeć na dysonans między rozkoszami ożenku a późniejszymi losami małżeństw, że wzдрыgał się, na myśl o kolejnym kieracie i zobowiązaniu. Takie miał credo. Nie zastanawiał się, czy jest dobre, czy złe, wzniośle czy może przyziemne i prymitywne albo czy komuś by się nie spodobało. Miał także gdzieś, jak to o nim świadczy.

* * *

Kilka dni po upojnym, w opinii Dioga, wieczorze ze sportsmenkami przyjaciele przesiadywali w Maktubie — lokalnym barze o wystroju tunezyjskim, skąpanym w duszącej zawieszynie dymu z szisz i oparów alkoholu. Przenieśli się tam z lubianego przez grubasa Fernandosa. Jego umiejscowienie na deptaku gwarantowało tłok i hałas, w którym nie dało się normalnie pogadać. Diogo ciągnął tam jednak do wyśmienitych kanapek. Przede wszystkim do ulubionej, ciężkiej i tłustej francesinhy, czyli zapiekanki z szynką i żółtym serem, oblanej sosem pomidorowym. Miguel uważał, że ta potrawa ma milion kalorii, ale jego kumplowi to nie przeszkadzało.

Za ich plecami, w tle, zamiast orientalnego, opartego na mikrotonach malufa z kolumn dobywał się lokalny szlagier fado, który nie docierał do ich świadomości. Melancholijna „muzyka przeznaczenia” zwyczajnie nie była modna w ich kręgach. Preferowali żywsze dźwięki morna — czyli zielonoprzyłdkowej wersji fado, pełnej ostrego brzmienia karnawałowych trąbek, zwariowanych bongosów i głębokich, pulsujących basów, w których rytmie można było się zatracić bez reszty. Podczas tańca należało poruszać energicznie głowami i biodrami, ocierając wzajemnie dłońmi o dłonie. Potem wtulać męskie przyrodzenia w dziewczęce łona, stykając się kośćmi miednicy — o ile nie były zalane tłuszczem jak u Dioga.

— Tak jak się umówiliśmy, poszedłem poszukać dla nas nowej plaży — tłumaczył Miguelowi, sięgając po ulubione grillowane

sardinhas assadas. Ponieważ sardynki były podawane w grubej soli, chciało mu się po nich cholernie pić, dlatego rzucał się na piwo, zbyt szybko je kończąc. — Po kilkuset metrach się zmęczyłem, więc usiadłem na chwilę pod drzewem, żeby zaczerpnąć powietrza. Panował straszny upał...

— Do brzegu, kolego. Co załatwiłeś? — Bono zebrał włosy w kucyk.

— Nic. — Jego rozmówca pokręcił głową i chcąc wzmocnić słowa gestem, wzruszył potężnymi ramionami i zrobił zatroskaną minę. — Kompletny kanał — dodał. Przy takim wyrazie twarzy oczy niknęły mu między mięsistymi policzkami, a wtedy przypominał wojownika sumo płaczącego nad śmiercią ukochanego cziłaty.

— To znaczy? — Bono pociągnął spory łyk piwa, lypiąc na niego pytająco, po czym wrócił do pałaszowania ryb.

— Łaziłem, łaziłem, aż się złaziłem, i nie ma dobrych miejsc. Trzeba poszukać na północy, może w okolicy Palheiros da Tocha? W każdym razie takich, gdzie nie dalibyśmy się zaskoczyć temu łobuzowi w mundurze, temu służbiście na sterydach, temu... — szukał słów.

— Co za syf — przerwał mu Miguel. — Dobra, olać temat! — Machnął ręką zniecierpliwiony niczym kupiec, który przystaje na zaproponowaną niekorzystną cenę. Zrezygnowany odłożył sztucce i wytarł usta.

— Jak olać? — Grubas zamrugał nerwowo powiekami. — Stara miejscówka jest spalona, a przecież musimy znaleźć inną, no bo jakże inaczej? — Na chwilę zamilkł intensywnie zamyślony. — A może w okolicy Pedrogão?

— To zbyt daleko od apartamentu. — Miguel potrząsnął głową, poruszając przy tym kitką. — Żadna nie da się namówić na taki spacer...

— Ale tam już się dłużej nie da, mistrzuniu — wszedł mu w słowo gruby. — Wszyscy nas znają. A poza tym strażnik posadzi nas za kratki, jak amen w pacierzu. — Uderzył się w miękką pierś. — Wstydu mi narobił przy ludziach, gdy napatoczyłem się na niego w mieście. Rozpoznał mnie na środku ulicy i zatrzymał. Zapowiedział, że jeśli jeszcze raz na wydmach czy gdziekolwiek indziej na terenie parku rozpalimy

ognisko, to do nowej grzywny doda zaległe, których w łaskawości swej dotąd nie wyegzekwował. Ty wiesz, ile to jest? Będzie z tego taki dym, że dojdzie do twoich starych. A wtedy pa, pa, *residência!* — Teatralnie pomachał pulchną dłonią na pożegnanie.

— Eee tam! — Bono machnął ręką i sięgnął najpierw po stojące na stole orzeszki, a potem po butelkę sagresa. Zamilkli, podczas gdy w knajpie panował coraz większy harmider. — Mam to gdzieś. — Skrzywił się. Trzymał w jednej ręce piwo, a w drugiej orzeszki, które systematycznie wrzucał do ust w przerwach pomiędzy wypowiedzianymi słowami. — Wszystko mi jedno. — Zaseponiony zapatrzył się w witrynę pubu. — Możesz mi wierzyć albo nie, ale ja mam dosyć. Cały czas szukam tej jednej jedynej, a tu nic. Zresztą zawsze jej szukałem...

— We wszystkich tych panienkach? — spytał Diogo z drwiącym uśmiechem, oblizując wargi. — Co ty wygadujesz, mistrzuniu? — Pokręcił głową z niezadowoleniem.

— Marzy mi się skromne mieszkanko, najlepiej z widokiem na Duero. — Miguel kontynuował z rozmarzeniem, wpatrzony w przestrzeń nad przyjacielem, jakby nagle przestał go widzieć i słyszeć. — A może kiedyś domek pod miastem, z ogródkiem, gdy pojawią się dzieci...

— Co ty chrzanisz? Jakie dzieci? — wykrzyknął grubas z odrazą i mało nie powstał razem z krzesłem i stołem. Bono ledwie uratował swoje niemal pełne piwo przed wylaniem. — Naprawdę teraz już przesadziłeś! — Zaczął mu się przyglądać z niepokojem, szukając w jego twarzy śladów fałszu.

— Ja mówię serio. — Przystojniak spojrział na grubego poważnie. — Myślę, żeby porzucić dotychczasowe życie, odszukać właściwą kobietę i się z nią ożenić. Pójdę do normalnej pracy i wrócę do nauki, bo bez matury daleko nie zajadę.

Oczy Dioga rosły.

— I gdzie zamierzasz ją znaleźć? — rzucił, sapiąc z rozpaczy na myśl o tym, że mogliby porzucić dotychczasowy tryb życia. — Na swojej ulubionej stronie z gorącymi kociakami, „Pocałuj mnie”?

Diogo usiłował obrócić wszystko w żart, lecz mimo rosnącego przerażenia nie powstrzymał się od przymknięcia oczu i przeciągnięcia językiem pomiędzy mięsistymi wargami. Wspomnił cudenka, jakie oglądał na tej witrynie ostatnim razem, czyli jeszcze dzisiaj przedpołudnia. Identycznie reagował na wspomnienie o jedzeniu — szczególnie gdy był głodny, a trzeba wiedzieć, że rzadko bywał najedzony.

— Ale ja szukam miłości, ty durniu! — Miguel popukał się palcem w czoło, po czym ledwie powstrzymując śmiech, dorzucił: — A może powinienem wejść na stronę „Pocałuj mnie w dupę”?

— Albo od razu na „Pobierzmy się” — podchwycił natychmiast Diogo. Jego białkowy komputer działał teraz na najwyższych obrotach. Miał bolesną świadomość, że bez kumpla mógłby od razu zapisać się do klasztoru dla grubasów. Teraz przynajmniej czar przystojnego, domorosłego gitarzysty promieniał na kilka chętnych dziewcząt równocześnie, więc i jemu udawało się ogrzać w jego ciepłe.

— Tak, jasne! — Teraz Miguel zamachał teatralnie rękami. — Dlaczego nie na portalu „Zrób mi dziecko na pierwszej randce”?

— No właśnie? Czemu nie? Skoro masz taki romantyczny plan? — Diogo działał w panice, lecz jego ostry jak brzytwa umysł, elastyczny i wydajny szczególnie w sytuacjach kryzysowych, wyrzucał celne skojarzenia jak z procy.

— O! To może być. — Miguel nachylił się do niego. — A ty sam kiedykolwiek próbowałeś?

— Czego? — Diogo na moment się zawiesił. — Robienia dziecka?

— Nieee... — Bono się wzdrygnął, niepomny swych wcześniejszych deklaracji. — Czy byłeś na jakimś portalu randkowym?

— Jasne! Cholercia, ze sto razy! — obruszył się Diogo. — Głównie na „Poznajmy się”, ale bez powodzenia. — Wzruszył ramionami i wziął łyk piwa. Dla beki, a po prawdzie aby zrobić cokolwiek, co odciągnie uwagę kumpla od szaleńczych myśli, zostawił na górnej wardze białą piankę i dodał: — Taka karma.

— Bo?

— Bo dotąd żadna laska mi nie odpisała, kumasz? Jakimś psim śwędem się zwiedziały, że jestem grubciem, nawet jeśli inteligentnie posłużyłem się Photoshopem. Ale ze stodoły szopy nie zrobisz. — Na krótko uśmiechnął się do swojego porównania. — Jednak wyobrażam sobie, że ty będziesz miał ofert w bród, z tym... — wyciągnął palec wskazujący do góry i nachylił się do rozmówcy. Pewna myśl błysnęła w jego oku. — ...że ty zareagujesz dopiero wtedy, gdy pojawi się ONA, od słowa „wyśniONA” — podkreślił ze scenicznie wykrzywioną miną. — Dobrze myślę? — spytał, ale nie czekając na odpowiedź, zawyrokował: — Tyle że moim zdaniem, stary, JEJ tam po prostu nie ma. Zapomnij o tym! — Wpatrzył się w przyjaciela z wyczekiwaniem. Po chwili poprosił: — Powiedz, że robisz sobie jaja. Że to wszystko ściema! — Sięgnął po piwo Miguela, bo zaschło mu w gardle od solonej ryby i od tej rozmowy. Oczywiście swoje już dawno wychylił. — Błagam... — zaskamlał pokonany.

Przystojniak uśmiechnął się tajemniczo, a potem ryknął na całą knajpę:

— Ha, ha, ha! Aleś ty naiwny, palancie! — Po czym z taką siłą klepnął go po plecach, że alkohol z trzymanej w ręku butelki chlusnął grubasowi na spodnie.

ROZDZIAŁ 2

Okna od pokoju Miguela wychodziły na rozslonecznioną zatokę. Na horyzoncie, a właściwie na oddalonej o kilka kilometrów od brzegu redzie, coraz rzadziej przeciągały się rybackie kutry. Ich miejsce zajęły cielska kontenerowców i znacznie większe statki pasażerskie, które z zawrotną prędkością podążały na północ półwyspu, w kierunku Porto albo przeciwnym, ku stolicy kraju.

Poranna bryza zawsze wieje od morza. Rozprasza w powietrzu warkot półciężarówek i skuterów pędzących wąską uliczką tuż pod okiennicami. Przynosi pokrzykiwania ptaków — mew czy może rybitw (Bono nie jest ornitologiem) — a także grudki miękkiego piasku. Ten podczas sztormu dostaje się dosłownie w każdą szparę, nawet do ust i szczelnie zamkniętych szuflad. Bywa, że po burzy piach zalega na chodnikach, oblepia fontanny, trawniki i zielone ogrody — a w nich agawy oraz pochylone pod jego ciężarem palmy. Zamienia je w kosmate figury rodem z epickiej katastrofy, po której na planecie wyginęło życie uduszone żółtożółcistym pyłem...

Miguel umościł się wygodnie na kanapie, otworzył laptopa i połączył z siecią. Krople wody kapały z jego jeszcze niewysuszonych długich włosów, szczególnie gdy je odgarniał sprzed oczu albo gdy potrząsał głową.

Swoje łowy zaczął jak zwykle od obejrzenia *Una de esas noches sin final* w wykonaniu pięknej hiszpańskiej wokalistki. Niechętnie odrywał od niej wzrok. Stała się jego ideałem i punktem wyjścia do dalszych erotycznych poszukiwań.

Wkrótce odnalazł kilka portali, które na pierwszy rzut oka spełniały jego oczekiwania. Miały być proste w obsłudze, kolorowe i przyciągające uwagę. W nudnych, jak założył, nie ogłaszają się ekscytujące kobiety.

Kilka minut później sprawnie przeszedł proces rejestracji na pierwszej z interesujących go stron i ustawił pożądane kryteria wyszukiwania kandydatek. Była wśród nich oczywiście płeć, przedział wiekowy, stan cywilny „wolny” (nie szukał guza) oraz jedna jedyna cecha fizyczna — szczupła budowa ciała.

Zaznaczając ten odosobniony parametr, przystojniak uważał, że nie ma wygórowanych wymagań estetycznych. Zdawał sobie sprawę, że niekiedy dziewczyny, które wybierał, mogły wydawać się innym facetom nieatrakcyjne, niepiękne czy po prostu za chude. Zdarzały mu się nawet i o wybałuszonych oczach — takie, zdaniem Dioga, wybierał najczęściej. W końcu gust jest rzeczą subiektywną. Niemniej jednak te przy kości zdecydowanie go nie interesowały. Tylko smagłe, chude, a nawet wręcz kościste.

Diogo oczywiście nie był aż tak wybredny jak jego szczupły przyjaciel. Może dlatego, że przy jego tuszy oczekiwanie, że dziewczyna będzie chuda jak szczapa, byłoby już deliktem.

W ostatnich miesiącach Bono ze zmiennym szczęściem nawiązywał kontakty z dziewczynami przez internet, z którego rekrutował swoje kolejne ofiary. Statystycznie najczęściej napotykał — według własnej nomenklatury — „sylikonowe barbie”, które jak twierdził, jakimś cudem same wpadały mu w ręce. Czasem trafiały się naiwne nastolatki, niekiedy zaś rozpalone mamuśki pragnące jeszcze raz pocuć młodego, jurnego samca — byle gdzie, byle jak, byleby szybko i mocno. Co prawda u niektórych pań ta potrzeba zdawała się potęgować

z wiekiem w tempie wykładniczym, jednak przystojniak nie uważał tego zjawiska za coś zbereźnego, zepsutego czy niestosownego, lecz za rzecz zupełnie naturalną. Przecież to nie ich wina, że przyroda wyposażyła je w rosnące z wiekiem libido, jak twierdził.

Musiał przyznać, że w przypadku niektórych przekwitających piękności propozycje erotyczne były bardzo intrygujące, a wręcz nęcące. W końcu były wyjątkowo doświadczonymi, często zdesperowanymi i bardzo otwartymi na niemoralne propozycje bezwstydnicami. Czyli miały coś, co przystojniak lubił najbardziej. Trudno było się doszukiwać tych walorów wśród jego rówieśnic — a tym bardziej u zaledwie dojrzałych dziewczątek. Już wiedział, że seks w głowach dwudziestolatek to jedynie narzędzie do spełniania marzeń o bliskości, ewentualnie o kasie, pozycji lub popularności towarzyskiej. W żadnym razie nie realna potrzeba obcowania z mężczyzną. Dlatego niekiedy udawało mu się odnaleźć balans między zaawansowanym wiekiem wybranki a jej atrakcyjną urodą i gotowością do lubieżnych igraszek, która wyzwalała w nim pożądanie. Z czasem jednak zaczął unikać MILF-ów — jak je nazywał w slangu zepsutych chłopców. Zachwycone jego łóżkowymi możliwościami, błyskawicznie zmieniały się w kobiety bluszcze pragnące za wszelką cenę zawłaszczyć przystojniaka na wieczny kontrakt.

W swoich poszukiwaniach na portalach randkowych, Miguel napotykał co jakiś czas typ „przemądrzałej flądry” — jak ochrzcił dziewczyny po studiach, które epatowały faktyczną lub urojoną wiedzą na każdy temat. Na pewno cechowało je niczym nieuzasadnione przekonanie o doskonałej znajomości wielu zagadnień. W dodatku w stopniu niedostępnym dla innych. I nawet jeśli faktycznie sporo na jakiś temat wiedziały, to — jego zdaniem — nie uprawniało ich to aż do takiej arogancji. Jedna z nich go nawet obrażała, wyłuszczając szczegółowo, co o nim myśli:

— Co z ciebie za Bono, człowieku! Ten prawdziwy jest nie tylko utalentowany i odnosi światowe sukcesy, ale jest także mądrym facetem. Społecznikiem. Gościem walczącym o wolność i równouprawnienie.

Dbającym o planetę. A ty z tym swoim konsumpcyjnym stylem życia, nastawieniem tylko na branie nawet nie mógłbyś koło niego stanąć. Co dopiero się porównywać...

Kobiety z tej grupy często wypytywały go, „w czym jest dobry” albo „czym się pasjonuje”. Bynajmniej nie dlatego, aby czegoś naprawdę się o nim dowiedzieć, lecz aby spytał je o to samo. W pewnym momencie zorientował się, że większość ludzi zadaje innym takie pytania, na jakie sami chcieliby udzielić odpowiedzi. Odtąd unikał poruszania kwestii, których nie chciałby zgłębiać publicznie.

Zauważył, że to zjawisko dotyczy także życzeń, które ktoś nam składa — zwykle wymieniając listę własnych pragnień. Była to jedna z tych tajemnic międzyludzkich relacji, którą rozkminił na własny użytek. Bardzo mu ona ułatwiała prowadzenie konwersacji z obcymi. Dawała poczucie przewagi — mimo że i tak nie miał z jej osiągnięciem specjalnych problemów.

Raz jedyny na międzynarodowym portalu randkowym Miguel korespondował z naprawdę interesującą dziewczyną. Taką „z górnej półki, ale bardzo miłą” — jak to określił. Zwyczajnie nie miał dobrych doświadczeń z pięknymi kobietami. Ostatecznie tym razem także nic z tego nie wyszło.

Pochodziła zza byłej żelaznej kurtyny i z jakiegoś nie do końca dla niego zrozumiałego powodu nie chciała „porzucić własnej ojczyzny”. W ten sposób górnolotnie i nieco, jego zdaniem, historycznie oceniła wakacyjne zaproszenie do Portugalii. Żałował jej decyzji, choć rozumiał, że wybranie się w tak daleką podróż do nieznanego mężczyzny świadczyłoby co najmniej o lekkomyślności. A na nierozsądną Stokrotka, jak się przedstawiła, na pewno nie wyglądała.

Bona coś do niej przyciągało, choć nie umiałyby zdefiniować, co konkretnie. Albo raczej co najsilniej. Na początku uroda i ciekawe pochodzenie. Z pewnością słowiańska natura (cokolwiek by to oznaczało) i trudna do określenia egzotyka. W każdym razie odmienność od znanych mu ciemnowłosych rodaczek, z którymi nie przyszłoby

mu do głowy rozmawiać na przykład o duchowości, przyszłości Europy czy kolonializmie.

Mimo że przystojniak wiedział, że jest piękna, to o jej urodzie niewiele mógł powiedzieć konkretnego. Dziewczyna konsekwentnie chowała się za jasnym, niezwykle bujnym bukietem włosów, który na każdym zdjęciu ukrywał sprytnie znaczną część jej twarzy. W ten sposób przystojniak mógł sobie jedynie wyobrazić jej wygląd, składając domniemany wizerunek z nieosłoniętych fragmentów.

Fotografie, które Stokrotka udostępniała, nie przysłały za to jej zgrabnej sylwetki ani kształtnego biustu — co go oczywiście od pierwszej chwili zauroczyło. Na dłużej zaś jego uwagę przykuła odmienność sposobu myślenia dziewczyny i zapatrywania na świat. Przede wszystkim: dobro, ciepło i życzliwość, których dotąd, jak uważał, nie doświadczył od żadnej urodziwej kobiety. Wszystkie piękności wydawały mu się zepsute, zimne, zadufane i bezpodstawnie wymagające. Stokrotka zaś bez wygłaszania własnych ocen odczytywała jego niezgrabne opowieści o kryzysie wartości czy bezsensie dotychczasowego życia, reagując na nie żywo, jak ktoś, komu nie jest to obojętne.

Umiejętność słuchania i niezafałszowanego skupiania uwagi na drugim człowieku zaimponowała mu w niej najbardziej. Jednak nie poszedł z tym zachwytem dalej. To znaczy nie pokusił się o refleksję na temat własnego płytkiego podejścia do bliźnich, pozornego nimi zainteresowania. Nie pomyślał więc także i o tym, że wiedziony jej przykładem mógłby się postarać być kimś bardziej wartościowym. Kimś, kogo by w sobie polubił. Skoro jej zachowanie wydało mu się aż tak wspaniałe... A przecież każdy człowiek może w dowolnym momencie życia zmienić się na lepsze, jak mu tłumaczono w dzieciństwie.

Niezależnie od tego, że pochodzili z dwóch światów — zarówno geograficznie, jak i mentalnie — Miguel uznał, że doszło między nimi do porozumienia dusz. Bardziej to oczywiście poczuł, niż nazywał w ten sposób. To „porozumienie dusz” miało nastąpić pomimo pewnych ograniczeń w komunikacji. Dziewczyna co prawda okazała się fanką fado — i z tego powodu liznęła portugalskiego — jednak

znacznie bieglej władała angielskim. Przystojniak zaś nigdy nie znalazł czasu ani nie wykrzesał chęci na gruntowną naukę języków obcych. To i nie tylko to w tej sytuacji, niestety, pokutowało. Co prawda wiele zapamiętał, ucząc się wykonywanych na scenie przebojów, aczkolwiek mimo to nadal miał spore zaległości. Na tyle poważne, że wyłuszczenie swoich głębszych — jak mu się zdawało — przemyśleń sprawiało mu niemałą trudność.

Zaciekawienie Stokrotką spowodowało, że odszukał szkolne zeszyty i postanowił nieco odkurzyć swoją lingwistyczną pamięć. Szybko zdemotywowował go jednak pewien znajomy, podobno doświadczony w „stosunkach międzynarodowych”, który zapewnił go:

— Takie mieszane związki bywają najsilniejsze. Ludzie, nie do końca rozumiejąc niuans wypowiedzi drugiej osoby, interpretują je więc zawsze na korzyść. Sądzą, że partnerka jest mądrzejsza, niż ma to miejsce w rzeczywistości, bo nim coś powie, dłużej się zastanawia. Tymczasem ona po prostu szuka podstawowych określeń, żeby wyrazić swoje myśli. Inna rzecz, że starannie dobierając słowa, faktycznie zastanawia się przez chwilę nad ich treścią. Ludzie też rzadko w takiej sytuacji podejmują trudne tematy, które wywołują konflikty. Są dla nich zwyczajnie zbyt skomplikowane do wyartykułowania. W ten sposób partnerzy więcej się do siebie uśmiechają, niż gadają, ha, ha, ha! I dobrze, bo z nadmiernego gadania to we współzyciu nic dobrego nie wychodzi, poza kłótnią. A z uśmiechu nigdy...

Zasadniczo Miguel się zgadzał z tą zawikłaną — a dla niektórych może i podejrzaną — tezą. Przekonywały go do niej głównie obserwacje własnej rodziny. Dużo by opowiadać czemu.

Po długich i bezowocnych staraniach o przyjazd Słowianki poddał się nieusatisfakcjonowany. Uważał, że gdyby tylko była w zasięgu jego wzroku i rąk, toby jej z nich nie wypuścił.

— Nic na siłę! — stwierdził któregoś dnia, gdyż sam nie miał ochoty na podróż do postsowieckich, szarych, zaniedbanych i biednych krajów, choćby za cenę najszlachetniejszych doznań. Wiedział, że los zwykle stroi sobie z niego żarty, podsuwając mu najciekawsze

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

